

Na ścianie jednostajnie tykał zegar.

Robert otworzył oczy. Wstał, zrobił kilka kroków po ciemnym pokoju. Stał przez chwilę, obserwując żaluzję w jedynym oknie, przez którą próbowało przedrzeć się czerwone światło. W końcu podważył linkę i żaluzja uciekła w górę, ostre wieczorne światło poraziło go.

Był ciepły wrzesień. Zegar tykał wciąż, a jego duża wskazówka zdążyła już pokonać małą drogę. Wtórował mu stojący na nocnym stoliku budzik.

Robert nienawidził tego trzydziestometrowego pokoju. Za każdą jego ścianą toczyło się cudze życie, a za oknem, nisko w dole, ulicami nieustannie przepływała ogromna masa ludzi. W większości, tak jak Robert, będąc pozbawionymi zajęcia, pędzili gdzieś do większych grup ci, którzy mieli jeszcze na to ochotę. Czasem przez tłum przepychało się auto z namalowanym na masce słońcem, wzbudzając zazdrość i złość, lub patrolujący pojazd, pilnując, by ta złość nie zmieniła się w furję. . .

Za ścianą ktoś spuścił po sobie wodę. Robert włączył radio i pokój wypełnił się czystym dźwiękiem muzyki, zbyt czystym jak na tę chwilę. Jakaś wesolutka piosenka zachęcała do życia takiego, aby żadna chwila nie pozostawiła chęci rzucenia się wstecz. Bolała go głowa. Zmienił kilkakrotnie stację, aż natrafił na przytłaczający noise – tak, tego potrzebował. Lecz po kilku minutach wyłączył radio zupełnie.

*„Nie cierpię muzyki”*

Odkroił sobie kawałek chleba, posmarował masłem. Kanapka miała posmak steku. Wszystko, co jadł, miało posmak steku. Jednak zjadł; postanowił wyjść, więc nie mógł być głodny. Ból głowy męczył go od wczoraj, może wyjście na zewnątrz przyniesie ulgę. Nie wychodził od kilku dni, dojadając resztę chleba. Prosto w jego jedyne okno świeciła reklama wyświetlana z rzutnika z ziemi. Spojrzał z wściekłością na błysk, na nieliczne meble w pokoju: nieposłane łóżko, stół, nocny stolik, krzesło, szafa. Prawie bezużyteczna. Białe ściany. Oczywiście wmurowany w ściany zestaw RTV. Terapeutyczna muzyka zachęcająca do optymizmu, pirackie stacje emitujące noise. A on nie błyszczał na mównicach, nie zmieniał świata: ohydne uczucie i wyrzut sumienia. Wziął kurtkę, zasznurował buty i wyszedł. Starannie, bardzo starannie przekręcił klucz w zamku, jednym, drugim. Schował klucze do kieszeni. Szarpnął za klamkę – drzwi były zamknięte. Przeszedł kilka kroków, po czym wrócił i jeszcze raz pociągnął za klamkę. Zjeżdżając windą w dół miał ochotę wrócić i zrobić to po raz trzeci, lecz postanowił nie ulegać temu nieuzasadnionemu, nękającemu go wiecznie poczuciu niepokoju.

Zachodzące, krwawe wrześnie słońce zdołało go jeszcze osłepić. Wmieszał się w tłum. Szedł zygzakiem, usuwając się, bez przerwy omijając nieznanomych. Ta niemożność swobodnego marszu przed siebie irytowała go. Kobieta trąciła go w ramię, młody chłopak uderzył go plecakiem, wykonując niespodziewany zwrot. Kilka razy zahaczył o czyjeś torby. Nienawidził ich i tego, że musi znosić ich dotyk.

Robertowi przyszedł na myśl kolega, a może przyjaciel, niewidziany od miesięcy. Tak, do niego pojedzie, zamieni kilka słów, może przenocuje. Czy Maks ma ciągle nastrój do imprez? A czy on, Robert, ciągle ma? Nie miał żadnego innego pretek-

stu, aby wyjść z domu. Pierwszy autobus, który nadjechał na przystanek, jechał we właściwym kierunku; wsiadł więc i poczuł, jak ogarnia go cuchnący zaduch. Przez fragment okna, jaki miał w zasięgu wzroku, widział starą dzielnicę sprzed stu lat, wysokie, szare bloki zamieszkałe teraz głównie przez dzikich lokatorów, godzących się na życie bez mediów dla jakiegokolwiek dachu nad głową. Na ścianach kolorowe graffiti, z których największy rzucał się w oczy napisem „Eksterminacja”. Nie chciały się tam teraz znaleźć. Zatloczony autobus był schronieniem. Jechał dalej, teraz przez dzielnicę biurowców, gdzie pracowali już tylko pomniejsi członkowie Słońca, z trudem, choć brutalnie broniąc lokali przed zajęciem przez tłum. Ostatnie promienie odbiły się od szklanych murów, zapadła noc.

Półmrok i niepożądany kontakt obcych ciał stały się dla Roberta nieznośne. Zapragnął dostać się na koniec pojazdu, gdzie zobaczył uchylony lufcik, rozpychając się torował sobie drogę. Dusił się. Przeszkodą stała mu się grupa mięśniaków, wydał więc z siebie niezrozumiały syk, na co jeden z nich warknął, łapiąc go za krtań. Robert odtrącił rękę, ześlizgnęła się z jego spoconej szyi. Odwrócił się, lecz jakiś starszy człowiek znalazł się nagle przed nim, blokując przejście. Robert pchnął go, staruszek zachwiał się, lecz złapał się poręczy, unikając upadku.

– Uważaj – wycedził Robert.

– Przepraszam – uśmiechnął się człowiek. Tu wieje wiatr.

– I co z tego?

– Tego właśnie potrzebujesz, przyjacielu. Podejdź do tego okienka. No, zbliż się.

W tej samej chwili Robert poczuł podmuch. Chłodne powietrze, pachnące dymem i gnijącymi liśćmi, mile orzeźwiło twarz i całe ciało. Tu okienko było wybite. Robert wdychał sączący się przez otwór błękitny eter, drętwość palców ustępowała. Fizyczny niepokój ulokował się teraz gdzieś w umyśle jako lęk i niezrozumienie zachowania tego gościa. Reakcją była niechęć do niego i choć nie miał ochoty z nim rozmawiać, odburknął:

– Nie wysilaj się pan.

– Młody człowieku, ty jesteś taki normalny. Jesteś nadzieją tego świata.

I pochylając się bliżej tuż nad uchem Roberta, wyszeptał:

– Jesteś piękny...

Niechęć osiągnęła maksimum, Robert odwrócił się bokiem. Pragnął cofnąć czas do momentu, kiedy przekręcał klucz w zamku.

– Niestety, muszę już wsiąść – rzekł nieznamy z rozczarowaną miną, która prawie Roberta przekonała. – Mieszkam tu, w tym domu – wskazał palcem nieduży budynek. – Tu się urodziłem i tu teraz żyję. Całe życie związałem z tą okolicą i kocham ją. Żałuję, że nie mogliśmy jeszcze porozmawiać. Do widzenia, przyjacielu. Może się jeszcze spotkamy – uśmiech nie schodził z jego twarzy.

Robert nie odpowiedział, kątem oka obserwował, jak człowiek wysiada.

Dziwny gość – pomyślał. Śledził jeszcze wzrokiem, jak bardzo wolnym krokiem zabierał się do przechodzenia na czerwonym świetle przez ruchliwą ulicę.

„I myśli, że przefrunie” – przyszło mu do głowy. Miał rację, cholerną rację. Staruszek zatrzymał się na środku jezdni i spozjrzał przed siebie. Uśmiechał się. Robert zamarł. Patrolujący pojazd nie wyhamował. Uderzył z impetem w człowieka, ten jak

szmaciana kukła przeleciał kilka metrów. Robertowi ten moment zdawał się trwać godzinami. Złudzenie filmu, który zatrzymał się na jednym kadrze – lotu w powietrzu – a ruszył z powrotem dopiero, gdy trup starszego człowieka użyzającego mu tlenu leżał już na jezdni, a kolejne pojazdy przejeżdżające go przewracały ciało w coraz to inną pozycję. Wizja śmierci uderzyła w pierś, wycisnęła pot na czoło, nie pozwoliła zamknąć oczu, chciała, aby na nią patrzeć. „Obejrzyj mnie, no, spójrz na mnie. Popatrz!” – wołała.

– Nie! – wrzasnął Robert, powodując zainteresowanie kilku osób. – Nie – wyszeptał. Autobus ruszył, za późno było wysiadać. Dopchał się jednak do wyjścia i nie zważając na ogólne zamieszanie, usiadł na stopniach, z głową wciśniętą w ramiona.

Widocznie znalazł się na ulicy, bo obraz przed oczami przestał się przesuwac. Nie wiedział dokładnie, gdzie jest. Nie wybierał się już do przyjaciela. Potrzebował się napić. Szedł chodnikiem w poszukiwaniu baru. Nie znał tej ulicy. Nigdy tu nie był. Przez oszczędność nie było tu wielu świateł, neonów czy reklam, tylko żółtawy poblask latarni. Ulicą snuło się już trochę mniej ludzi. Wysokie budynki o mnóstwie poziomych okien, najniższe ich piętra jawiły się w żółtym, mglistym oświetleniu, górne kondygnacje tonęły w mroku. Robert nie wiedział, czy mają po pięć, czy dwadzieścia pięter i czy w ogóle gdzieś się kończą. Wreszcie dostrzegł świecący błękitnie neon pubu. Przeszedł przez korytarz tak ciemny, że kierował się tylko odgłosem własnych kroków. Znalazł się na podwórzu oświetlonym równie błękitnie, jak szyld „Tratwa Meduzy”. Zszedł po schodach, pchnął drzwi. Natychmiast w jego uszach eksplodowała jakaś psychodeliczna muzyka new age, a oczy uderzył jasny fiolet lamp. Pub ubrany był w roślinność, zielen liści zdawała się czarna w kontakcie z tym liliowym światłem. Miniaturowe bonsai wyrastały z sufitu w dół, drzewka stanowiły filary pomieszczeń, a wyposażenie zbudowane było z cieniutkiego szkła. Pomimo niewątpliwych starań w wystroju wnętrza Robert uznał, że brakuje mu klimatu pubu. Zbyt tu jaskrawo. Usiadł w ciemnym miejscu. Chciał odpocząć od tej jaskrawości. Chciał odpocząć od tego, co widział. Ciało szarpane oponami. Za każdym razem leżało inaczej. Zatrzymał się dopiero szósty.

Nagle uświadomił sobie, że mógł zapamiętać numery pojazdów. Nie zrobił tego. Żałował. Chciałby teraz dopiero wsiadać do autobusu. Cofnąć czas i wsiadać do autobusu. Rzucić się wstecz.

*„Sukinsyn nawet nie zahamował. Tamci też nie. Dopiero szósty”.*

*„Czy ten człowiek popełnił samobójstwo?”*

Robertowi zdawało się, że z nieznanego emanował optymizm. Zresztą on nie rzucił się pod wóz patrolu. On po prostu nie uskoczył. Nie ratował się. Nie był niedołąny ani niewidomy – patrzył wnikliwie prosto w oczy.

Trapiiony tymi myślami wstał i podszedł do baru. „Wyborowa” nie przeminęła, przeciwnie, czasem koła ból. Przy drugim końcu kontuaru siedziała dziewczyna lat około dwudziestu pięciu, o ciemnych, długich włosach z grzywką i trochę ziemistej cerze.

„Dziewczyna” – pomyślał Robert. „Oto dziewczyna”. Chciał ją natychmiast zaczepić. Ogarnął wzrokiem jej jednolity ubiór składający się z brązowych spodni i takiegoż golfu. Jej chude ciało bez kształtów. Jej twarz bez makijażu. Po pubie

snuły się plastikowe diwy, pazerne myśliwe, w tej Tratwie Meduzy ona była drzazgą. Męczmy się, męczmy do końca.

Obok niej nie było nikogo. Od czasu do czasu zamieniała kilka słów z barmanem, po czym na dłuższy czas zapadała w leniwą zadumę nad szklanką soku. Z prądem czy bez, nie wiadomo.

Po dwóch „wyborowych” jej cera nie wydawała się już Robertowi taka ziemista, a po porto poczuł się samotny. Nie miał dziewczyny. Jeśli wychodzi się z pokoju przeciętnie raz na tydzień, nie jest łatwo o dziewczynę. Zresztą odnosił wrażenie, że ludzie coraz mniej się tymi sprawami interesują.

Po chwili był już koło niej. Dziewczyna spojrzała i uśmiechnęła się uprzejmie. Trochę zbyt uprzejmie – jakby reklamowała proszek do prania czy towarzystwo ubezpieczeniowe. Odezwała się pierwsza:

– Cześć. Mam na imię Zelia. A ty?

– Robert. Oryginalne imię – Zelia. Ładne – powiedział, przekrzywiając głowę i kierując kolana w jej stronę. – Z prądem czy bez? – spytał, wskazując na żółty sok.

Dziewczyna na chwilę przestała się uśmiechać i zrobiła minę dziecka przy tablicy.

– Słucham?

Roześmiał się.

– Nieczęsto przebywasz w tym barze?

– Jestem tu codziennie.

– O! I zawsze sama?

Twarz Zelii przybrała znów ten łagodny wyraz.

– Nie, nie zawsze. Czasem z przyjaciółmi.

Poczuł, że popada w banał.

– A... któryś z tych przyjaciół jest bardziej niż przyjacielem? – spytał, kiwając kolanami.

Dziewczyna pomyślała chwilę, marszcząc czoło, podczas gdy Robert miał moment zastanowienia, skąd ona się urwała.

– Zależy, co masz na myśli. Lubię Kubę, Sebastiana, Tomka i nawet Mata, chociaż on rządzi – wyliczała na palcach, patrząc w drzewko nad swoją głową.

„Nie, ona nie ma nikogo” – pomyślał.

– Mat – to ksywa?

– Mateusz.

– Aaaa – przesadnie wydłużył samogłoskę „a”. – Chciałabyś poznać Roberta dla odmiany?

– Właśnie cię poznałam – odpowiadała monotonicznie, z lekkim uśmiechem. Robert począł uznawać to za rodzaj pozy. Podobało mu się to.

– Nie obraż się. Zobaczyłem cię przy barze i spodobałaś mi się. Po prostu.

– To miło z twojej strony.

– Uważasz? – odparł i położył dłoń na jej ramieniu.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał z pubu, był przenikliwy ból uderzenia. Próbował się bronić. Nie zobaczył nic.